ALBATROS

„Ekscytujący, szokujący thriller!
Lisa Gardner

„Oszałamiająca jazda.
Tess Gerritsen

„Mistrzowska nieprzewidywalność.
„Daily Mail"

człowiek znikąd

ORPHAN X

GREGG HURWITZ

1

Co on musi wiedzieć

Nagie selfie.

Od tego się zaczyna.

Hector Contrell wysyła siedemnastolatka, żeby kręcił się po szkołach średnich we wschodnim Los Angeles. Chłopak o nieprawdopodobnym imieniu Addison jest doskonałą przynętą. W miarę przystojny, wąs mu się sypie, ma policzki gwiazdy pop i niedbale ułożone blond włosy o popielatym odcieniu. Nosi bluzę z kapturem i jeździ na deskorolce, więc wygląda na piętnaście lat. Mówi, że jest zawodowym skaterem z podpisanym kontraktem. Mówi, że jest raperem i ma układ z jakąś ważną wytwórnią fonograficzną. W rzeczywistości jest wyrzutkiem, który mieszka w wynajętym garażu, ze starszym bratem i jego kumplami, spędzając noce na graniu w *Call of Duty* i paleniu marihuany ze szklanego bonga, zwanego przez nich Fat Boy.

W porze lunchu, po zajęciach, trzyma się blisko ogólniaków, jego deska grzechocze na popękanym chodniku tuż za granicami terenów szkolnych. Dziewczyny zbijają się w stadka i chichoczą, a on wyłuskuje jedną spośród nich. Mówi jej, żeby zrobiła sobie fotki. Mówi, żeby założyła konto na Facebooku, takie, o którym nie dowiedzą się rodzice, i tam wrzuciła zdjęcia. Mówi, że w ogólniaku wszyscy tak robią,

i w zasadzie ma rację, ale nie wszyscy padają ofiarami takiego planu. Bierze na cel dotowane szkoły dla uczniów z rodzin o niskich dochodach. Podrywa dziewczyny, którym łatwo zaimponować, które czekają na spełnienie marzeń, wielką miłość, okazję do wyrwania się ze środowiska. Dziewczyny, których rodzice mają za mało pieniędzy, żeby wiele zdziałać, gdy ich córka zniknie.

Link do tajnego profilu na Facebooku trafia do Hectora Contrella.

Genialność planu polega na tym, że dziewczęta same tworzą katalog, w którym oferują siebie.

Z konta Contrella linki wychodzą do wszelkiego pokroju mężczyzn o nieszablonowych upodobaniach. Australijskich przemysłowców. Szejków. Trzech braci w Detroit z zamkniętą na kłódkę blaszaną komórką. Zainteresowani mogą dyskretnie oglądać towar w internecie i jeśli chcą, prosić o więcej informacji o produkcie – zdjęcia pod innym kątem, konkretne pozy. Dokonują wyboru.

Zważywszy na zamęt powodowany przez imigrantów, wpływy gangów i rozbite rodziny, zniknięcia ubogich dziewczyn z mniejszości etnicznych nie należą do rzadkości. Dziewczęta są zasobami odnawialnymi.

Hector Contrell wychodzi w czerń nocy i kolejna dziewczyna znika z ulicy, po czym jakiś czas później budzi się, otumaniona, w Islamabadzie, Birmingham albo São Paulo. Niektóre z nich są zatrzymywane na dłużej. Inne to jednorazówki.

Anna Rezian jest następną kandydatką. Jej ojciec, zaharowany hydraulik, wraca późno do domu, zawsze zmęczony. Matka, kelnerka w barze, wraca jeszcze później i jeszcze bardziej zmęczona. Piętnastoletnia Anna opiekuje się młodszym rodzeństwem, starając się pamiętać o tym, żeby po położeniu dzieci zajrzeć do podręczników. To ciężkie życie dla dziewczyny w jej wieku.

Pewnego dnia po szkole namierzają ją wyzierające spod rozwichrzonej grzywki błękitne oczy Addisona. Wieczorem Anna maluje sobie rzęsy, ściąga wytarte na kolanach spodnie, sprawdza oświetlenie. Ta decyzja, ta chwila, ma być bramą do Zupełnie Nowej Anny.

Jednak po tym, jak wysyła selfie, nie dzieje się nic magicznego. Patrząc na zdjęcie, które wypuściła w świat, czuje trawiący ją niepokój.

Postanawia poprzestać na jednej fotce, ale Addison potrzebuje więcej; żąda tego kupiec z Serbii. Otumaniony gandzią chłopak, dopada Annę w uliczce przed blokiem, gdzie w kawalerce mieszka jej rodzina. Kiedy zawodzi go tani urok hipstera, zaczyna grozić. Kozacząc w ciemnościach dzielnicy Crenshaw, daje Annie do zrozumienia, że pracuje dla kogoś, kto skrzywdzi ją i jej rodzinę, jeśli ona zakręci kurek.

Anna nie śpi przez całą noc, drżąc w blasku starego laptopa, wyklikując sobie drogę przez bezkresy Facebooka i tropiąc wątki. Koleżanki koleżanek słyszały o koleżankach, które zniknęły. Znad ekranu patrzy na śpiące rodzeństwo i zastanawia się, co będzie, jeśli spotka je krzywda z powodu jej głupoty. Patrzy na śpiących rodziców, wyczerpanych po długim dniu pracy. Otchłań wyrzutów sumienia w jej sercu pogłębia się z chwili na chwilę, pchając ją coraz dalej, aż w końcu Anna ląduje na stworzonej przez siebie wyspie, gdzie jej bliscy stają się zaledwie punkcikami na horyzoncie. Nadchodzi coś strasznego, albo dla nich, albo dla niej. Podejmuje decyzję.

Wysyła nowe zdjęcia.

Przestaje sypiać. Zaczyna wyrywać sobie garściami włosy z głowy. Tnie się w szkole, licząc na to, że ból zbudzi ją z tego koszmaru. A może to wołanie o pomoc, może każda szkarłatna linia na przedramieniu jest sygnałem dymnym wypuszczonym z nadzieją, że ktoś przybędzie jej na ratunek.

I ktoś dostrzega sygnał. Ojciec jednej z jej koleżanek, star-

szy mężczyzna, który od niedawna kuśtyka o lasce, znajduje ją szlochającą w toalecie 7-Eleven, chociaż powinna być w szkole. Podaje jej numer telefonu: 1-855-2-NIGDZIE. Magiczna linia oferująca pomoc.

Anna wybiera numer.

Odbiera Evan Smoak.

– Potrzebujesz mojej pomocy? – pyta.

Tak to działa.

▪ ▪ ▪

Czternaście godzin później Evan stoi przed wynajętym garażem, w którym koczuje Addison. Powietrze ma smak spalin. Latarnie uliczne są potłuczone, smog przysłania gwiazdy, noc jest ciemna jak smoła. Evan jest zjawą.

Wie, że brata Addisona, Carla, i jego ekipy nie ma w środku; są w parku w Boyle Heights, gdzie szprycują się heroiną zwaną „czarna smoła". Wie, że Addison jest sam.

Zebrał potrzebne informacje.

Wymaga tego Pierwsze Przykazanie: żadnych domysłów.

Zjawa unosi rękę, jednym palcem stuka w drzwi garażu.

Chwilę później drzwi się podnoszą.

Zgarbiony Addison wychodzi, ziejąc smrodem starej wody z bongo. Kołysze się na piętach, oceniając wzrokiem tego nieznajomego mężczyznę.

Evana z założenia trudno jest ocenić. Trzydzieści kilka lat. Wysportowany, ale niezbyt muskularny. Około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Przeciętny facet, średnio przystojny.

Addison niesłusznie go lekceważy.

To często się zdarza, również z założenia.

Chłopak krzywi usta. Potrząsa głową. Odgarnia włosy opadające na błękitne oczy, przez które tyle młodych dziewczyn trafiło na kontenerowiec płynący ku nieznanym wodom.

– Czego, kurwa, chcesz? – pyta.

– Adresu Hectora Contrella – mówi Evan.

Młokos trzepocze rzęsami, ale szybko odzyskuje zimną krew.

– Nie mam pojęcia, kto to taki. A gdyby nawet, za chuja bym nie powiedział.

Evan świdruje go wzrokiem. To z reguły budzi w ludziach zaniepokojenie.

Na twarzy Addisona odmalowuje się niepewność, ale zaraz przepędza ją mruganiem.

– Znam ludzi, kutasie – mówi. – Ludzi, którzy mogą sprawić, że znikniesz, ot tak. – Pstryka palcami, dźwięk brzmi ostro w zimnym powietrzu. – A poza tym, kurwa, kim ty jesteś?

– Człowiekiem Znikąd.

Grdyka chłopaka podskakuje. W górę, w dół.

Ksywka nie jest szeroko znana, ale tu i ówdzie mroczne plotki roznoszą się niczym śmieci po pełnych graffiti zaułkach.

Addison szybko robi krok w bok, żeby nie stracić równowagi. Ze ściśniętego gardła płynie chrapliwy głos:

– To ściema.

– W takim razie nie musisz się bać, prawda?

Addison nic na to nie odpowiada.

– Wiesz, co się dzieje z dziewczynami – rzuca Evan.

Addison po dłuższej chwili odzyskuje mowę.

– Znikają.

– Gdzie?

– Nie wiem. Faceci…

– Wykorzystują je…?

Chłopak wzrusza ramionami. Co więcej, tłumi chichot.

– Do tego, co robią faceci.

– Adres.

– Nie powiem, Hector mnie zabije. Dosłownie.

Evan patrzy nieruchomym wzrokiem.

Addison mięknie.

– Nie – mamrocze, gdy zaczyna pojmować, co go czeka. – O nie. Słuchaj, człowieku, jestem jeszcze dzieciakiem. Mam siedemnaście lat. Nie zabijesz mnie, co nie?

Jest taki cios, którego Evan jako nastolatek nauczył się od gburowatego instruktora walki wręcz z piechoty morskiej.

Zwą go łamaczem podniebienia.

Nie zabija. Łamie garb nosa, kości jarzmowe i oba oczodoły, poziomo rozszczepiając twarzoczaszkę od skroni do skroni. Górna szczęka zwisa, do niczego nieprzymocowana.

Evan mruży oczy. Wybiera miejsce.

Nikt by nie pomyślał, że chłopak utrzyma się na nogach, ale tak, stoi wyprostowany na krawężniku. Coś w rodzaju śluzu ścieka mu z ust, z nosa.

– Nie – mówi Evan. – Nie zabiję cię.

Addison charczy. Z przefasonowaną twarzą trudno mu będzie podrywać dziewczyny.

– Adres – powtarza Evan.

Ruina ust mówi mu to, co chciał wiedzieć.

2

Normy społeczne

Evan rozchylił grube foliowe płachty i wśliznął się do będącego w budowie McMansion, zdobyczy Hectora Contrella w wojnie z biednymi rodzinami wschodniego LA. Dom, oddalony od sąsiednich budynków, stał na końcu wznoszącego się podjazdu, na skraju dzielnicy Chatsworth.

Evan przechodził przez puste framugi drzwiowe, bezgłośnie sunąc w kierunku serca domu. Otoczony przez słupy szkieletowe i gołe belki stropów miał wrażenie, że wkracza w ogromną klatkę piersiową, w samego Hectora Contrella. Zapach trocin drapał go w gardle. Gwoździe sterczące z podłogi wbijały się w podeszwy jego butów Original S.W.A.T. Głęboko ponacinana okładzina rękojeści wykonanej na zamówienie pistoletu Wilson Combat 1911 odciskała się we wnętrzu jego dłoni.

Znalazł Contrella w przyszłym salonie, siedzącego jak pilot w kokpicie pełnym monitorów komputerowych i serwerów, skąd bezkarnie kierował swoim imperium handlu żywym towarem. Krzepki, brodaty mężczyzna, który wypiął się na normy społeczne, brał to, co chciał, bo tego chciał. Supernowoczesne stanowisko z niebieskawym blaskiem i zwojami kabli wyglądało jak anomalia, jak grzyb wyrastający ze ślepej podłogi budowanego domu.

Hector spostrzegł ruch w mroku i podniósł się, już z rewolwerem w ręce. Gdy wstawał i prostował się, wyglądało to, jakby przez cały czas rósł.

Evan patrzył na niego, stojąc tuż za półkolem zestawionych biurek. Tatuaż FUCK YOU na szyi mężczyzny wskazywał, że finezja nie jest jego najmocniejszą stroną.

– Nie wiem, kim jesteś ani czego tu szukasz – odezwał się Hector – ale daję ci pięć sekund na to, żebyś stąd zniknął. Jak nie, napowietrzę ci tors. – Dla podkreślenia swoich słów kopnął jeden z monitorów, który spadł z biurka i rozleciał się na kawałki u stóp Evana, widowiskowo strzelając iskrami.

Obaj mężczyźni trzymali opuszczoną broń.

Evan patrzył przez chwilę, jak konający monitor wysyła w powietrze ostatnią iskrę. Potem uniósł wzrok.

– Jednym z celów okazywania gniewu jest to, by przekonać innych, że wcale się nie żartuje – powiedział. – Zasygnalizować, że człowiek traci panowanie nad sobą, jest nieprzewidywalny, skłonny do wyrządzenia krzywdy. Wzbudzić strach.

Hector wyprostował się jeszcze bardziej, co wydawało się prawie niemożliwe. W blasku monitorów było widać rozdarty płatek lewego ucha, z którego kiedyś został wyrwany kolczyk.

Evan zrobił krok do przodu.

– Spójrz na mnie. Przyjrzyj mi się uważnie. I zadaj sobie pytanie, czy wyglądam na przestraszonego.

Wielki mężczyzna się pochylił, blask monitorów przemieniał jego twarz w cienisty pejzaż – puste oczodoły, wyraźnie zarysowany podbródek, krzywizna policzka. Grube wargi jakby pulsowały, co było pierwszą oznaką wahania.

Evan trzymał pistolet w zwieszonej ręce, podobnie jak Hector. Stali naprzeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem ponad dzielącym ich biurkiem.

Kiedy Evan miał czternaście lat, Jack nauczył go szybkiego używania broni. Nie było tu ostentacyjności rodem z filmu

W samo południe – wyjmij broń z kabury, podnieś i wyceluj. Wystarczyło dwumilimetrowe nachylenie i nacisk palca wskazującego na spust z siłą półtora kilograma.

Cienie przesunęły się po twarzy Hectora. Muskularna ręka poruszyła się na rewolwerze. Evan zareagował pierwszy.

Sklejkowe ściany odpowiedziały donośnym echem.

▪ ▪ ▪

Tej samej nocy, nieco później, Evan skręcił w uliczkę biegnącą za starym, zaniedbanym blokiem, w którym mieszkała rodzina Anny Rezian. Krew, która zaschła na jego lewym przedramieniu, pękała jak suche błoto, kiedy się poruszał. Umył ręce i twarz, ale czuł łuskowate drobiny na szyi.

Zbryzgała go krew Hectora.

Wyjął z kieszeni czarny telefon. Był to model RoamZone w obudowie z włókna szklanego i twardej czarnej gumy, z ekranem chronionym przez gorilla glass. Nosił go przy sobie.

Zawsze.

Telefon był kołem ratunkowym. Nie dla niego, ale dla tych, którzy dzwonili.

Wysłał do Anny SMS-a: NA ZEWNĄTRZ.

Gdy czekał na nią, coś nie dawało mu spokoju, drążąc podstawę czaszki. W domu Hectora coś widział – coś tam było nie tak jak trzeba, ale nie wiedział co. Czy jego klientka jest w niebezpieczeństwie? Nie. Był skrupulatny. Nic jej nie grozi. Jemu też nie. Chodzi o coś innego. Coś ważnego, chociaż nie wydawało się to pilne.

Jakieś dziesięć metrów dalej w wylocie uliczki ukazała się podświetlona od tyłu sylwetka Anny. Dziewczyna szła przygarbiona, ubrana w koszulę nocną. Uliczka tworzyła tunel aerodynamiczny i październikowy wiatr targał ciemnymi włosami Anny, podrywał sztywne pasma.

– Już jesteś bezpieczna – zapewnił ją.

Była boso. Widział, że drżą jej kolana.

– Myślałam, że jeden z nich przyszedł mnie wykończyć. Myślałam, że wyjście z domu będzie ostatnią rzeczą, jaką zrobię w życiu. Ale potem… potem zobaczyłam, że to ty.

– Przepraszam, że napędziłem ci stracha.

– Co to znaczy, że jestem bezpieczna?

– Już nie musisz się martwić – powiedział.

– O co?

– O nic.

– A Addison?

– Ma teraz inne problemy.

– A jego szef? Facet, który stał za tym wszystkim?

– Nie żyje.

Anna podbiegła, skóra jej głowy połyskiwała w miejscach, gdzie wyrwała sobie włosy. Jej twarz miała taki sam wyraz, jaki widział u innych klientów – wyraz zaszczucia, pustki, która następuje po tym, jak człowiek wypada z nurtu życia.

– Albert też jest bezpieczny? – Głos jej się załamał. – I Eduard?

– Tak.

Podeszła jeszcze bliżej, jej policzki lśniły od łez.

– A Maria? Nie skrzywdzą Marii?

– Nie ma już nikogo, kto mógłby ją skrzywdzić.

Teraz jawnie szlochała.

– *Mayrig? Hayrig?*

– Twoim rodzicom też nic nie grozi.

Pomyślał o jej śpiących bliskich i zastanowił się nad tym, jaki spokój mogą jej zaofiarować. W jej wieku miał go niewiele, co oznaczało, że nie było nic, za czym mógłby tęsknić. Jako dwunastolatek wsiadł do ciemnego sedana i zniknął z radaru. Ale wtedy warto było podjąć każde ryzyko. Dzięki temu wyrwał się ze wschodniego Baltimore. Był w Marakeszu, Petersburgu i Kapsztadzie i wszędzie zostawiał za sobą szlak krwi. Ale ni-

gdy nie miał tego, co czekało na Annę w jej domu. Wraz z zimnym podmuchem wiatru napłynęło zrozumienie, że poświęcił życie, by zapewniać innym to, czego sam nie mógł mieć.

– Te moje zdjęcia – szepnęła. – Rodzice będą się mnie wstydzić.

Evan przeszukał dom Hectora i znalazł niewiele więcej niż materiały budowlane, butelki po piwie i kilka ciężkich hantli w garażu. Opakowania po fast foodach zaściełały materac rzucony na podłogę w jednym z pustych pokoi na górze, gdzie Hector koczował podczas budowy. Evan zszedł do centrum łączności i odciągnął masywne ciało na bok. Kiedy uprzątnął kokpit, przez kilka minut ze ściśniętym żołądkiem przeszukiwał bazy danych, przeglądając pliki wcześniejszych „panien do wzięcia", żeby zlokalizować nabywców. Informacje o klientach były skąpe i zaszyfrowane, ale wysłał je do lokalnego oddziału FBI. Zanim to zrobił, usunął z serwerów wszystkie dane dotyczące Anny Rezian.

– Zdjęcia zniknęły – powiedział. – Nikt o niczym się nie dowie.

Anna niepewnie odstąpiła w bok i oparła rękę na otynkowanej ścianie.

– Eduard. Jest już bezpieczny. Jest bezpieczny. – Wciąż nie mogła w to uwierzyć.

– Wszyscy jesteście bezpieczni.

Przez jej twarz przebiegł skurcz i Evan pomyślał, że dziewczyna zaraz zupełnie się rozklei.

– Nie wiem, czy zdołam spojrzeć im w oczy, wiedząc, do czego o mało nie doprowadziłam. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– To już zależy od ciebie.

Wyglądała na urażoną jego słowami. Łzy zawisły jej na rzęsach. Przygryzła wargę. Jej pierś się wzniosła, nozdrza zadrżały. Głęboki wdech. Wydech. Łzy nie popłynęły.

– Nie dzwoń do mnie więcej – nakazał. – Rozumiesz? To właśnie robię, ale na tym koniec.

– Albert i Maria są bezpieczni. – Jej usta ledwie się poruszały. Jej głos był ledwie szeptem. – *Mayrig* i *Hayrig*. I Eduard. Eduard.

– Anno, weź się w garść. Spójrz na mnie. Spójrz na mnie. Jest coś, o co chcę cię prosić, zanim odejdę.

Jej oczy nagle pojaśniały.

– Możesz prosić o wszystko.

– Znajdź kogoś, kto potrzebuje mojej pomocy. Tak jak ty jej potrzebowałaś. Nieważne, czy zajmie ci to tydzień, miesiąc, czy rok. Znajdź kogoś, kto jest zrozpaczony i nie widzi żadnego wyjścia z sytuacji. Podaj mu mój numer.

– Tak, jeden-osiem-pięć-pięć-dwa NIGDZIE.

Każde połączenie było digitalizowane i przesyłane przez szereg zakodowanych tuneli wirtualnej sieci prywatnej. Po odbiciu przez piętnaście wirtualnych łącznic, w różnych miejscach na kuli ziemskiej, trafiało do komórki Evana.

– Tak. Powiedz, że jestem i postaram się pomóc.

– Jak tata Nicole Helfrich, kiedy mnie znalazł w Seven-Eleven?

– Właśnie tak. Znajdź kogoś. Powiedz, że zawsze odbiorę telefon.

Był to ostatni krok dla jego klientów. Zadanie, cel, akt upoważnienia, który zmieniał ich z ofiar w ratowników. Evan aż za dobrze wiedział, że pewne rany nigdy się nie zagoją, nie do końca. Ale przecież istniały sposoby, by zmniejszyć ból, przejąć władzę nad bliznami, i jednym z nich było szukanie kogoś, kto potrzebował pomocy.

Anna rzuciła się do niego i objęła go. Przez chwilę jego dłonie unosiły się kilka centymetrów od jej pleców. Nie przywykł do tego rodzaju kontaktu. W księżycowej poświacie widział czerwoną jak wino smugę na swoim przedramieniu, ciemne

półksiężyce pod paznokciami. Nie chciał, żeby Anna miała na ubraniu, na włosach, krew Hectora Contrella. Tymczasem ona objęła go jeszcze mocniej i wtuliła twarz w jego pierś.

Opuścił ręce. Była ciepła. Przez T-shirt czuł wilgoć jej policzka. Przywierała do niego z całej siły.

Jej głos był stłumiony.

– Jak mam ci podziękować?

– Bądź ze swoją rodziną – odparł.

Rozumiał te słowa jako kolejną instrukcję, ale przyszło mu na myśl, że jest to również odpowiedź na jej pytanie.

Odsunęła się, żeby otrzeć łzy, a on skorzystał z okazji i pośpiesznie odszedł.

3

Wóz bojowy

Przeskakując od świateł do świateł, Evan marzył o wódce. Nieotwarta butelka w szufladzie na lód w lodówce Sub-Zero czekała, żeby go powitać, gdy tylko wróci do domu. Jego ford F-150 z zewnątrz wyglądał jak miliony innych samochodów tej marki na drogach Ameryki. Ale z laminowaną szybą pancerną, samouszczelniającymi się oponami i skonstruowanym na zamówienie zderzakiem zaporowym był tak naprawdę wozem bojowym.

Evan ujrzał przed sobą swój apartamentowiec. Opatrzony nadętą nazwą Castle Heights, wyznaczał leżące najdalej na wschód miejsce w Wilshire Corridor, co z jego penthouse'u zapewniało mu idealny widok na centrum Los Angeles. Apartamentowiec był luksusowy, ale miał swoje lata, dzięki czemu nie przyciągał uwagi, podobnie jak jego pick-up. Czy on sam.

Zwerbowany w dzieciństwie z czynszówki we wschodnim Baltimore, przez siedem wyczerpujących lat trenował pod okiem swojego opiekuna. Powiedzieć, że Jack Johns był dla niego jak ojciec, byłoby grubym niedomówieniem. Jack był pierwszą osobą, która go traktowała jak istotę ludzką.

Evan był tworem Programu Orphan, ściśle tajnego projektu Departamentu Obrony. Program polegał na wyszukiwaniu od-

powiednich chłopców, zagubionych w systemie opieki zastępczej, potajemnym wyłuskiwaniu jednego po drugim i szkoleniu ich, żeby robili to, czego rząd Stanów Zjednoczonych nie mógł oficjalnie robić w miejscach, gdzie oficjalnie nie mógł ingerować. Ten ściśle tajny program był finansowany z alternatywnego budżetu. Formalnie rzecz biorąc, agenci Programu Orphan nawet nie istnieli.

Byli bronią spisaną na straty.

Jako Orphan X Evan miał do dyspozycji pękające w szwach konta bankowe w krajach słynących z dyskrecji. Pracował przez ponad dziesięć lat, wykonując powierzone mu zadania. Widywano go rzadko, nie schwytano nigdy. Był znany jedynie zostawianym za sobą martwym ważnym celom, i to z przydomka, który zyskał za sprawą niewidzialnego poruszania się w mroku.

Człowiek Znikąd.

Jednak w pewnym momencie postanowił odejść, za co drogo zapłacił. Ale teraz miał dosłownie nieograniczone fundusze, zestaw wyjątkowych umiejętności i mnóstwo wolnego czasu. I chociaż już nie był Orphanem X, stwierdził, że istnieje praca, którą powinien wykonywać jako Człowiek Znikąd.

Praca *pro bono*.

Stracił błogosławieństwo rządu, ale zachował przydomek nadany mu przez wrogów.

Doszły go słuchy, że Program Orphan został zamknięty, jednak w zeszłym roku miał okazję się przekonać, że nadal funkcjonuje. Przejął go najbardziej bezlitosny z Orphanów, Charles Van Sciver. Jego nowa dyrektywa brzmiała: wytropić i wyeliminować byłych agentów. Według tych, którzy trzymali go na smyczy, głowa Evana zawierała zbyt wiele poufnych informacji, żeby nadal mogła być połączona z tułowiem.

Podczas ich ostatniej krwawej konfrontacji jedno stało się jasne – Van Sciver i jego podwładni nie zakończą polowania, dopóki Evan nie umrze.

Od tamtej pory Evan trzymał się poza ich zasięgiem, nieustannie czujny.

W końcu wyrwał się z pełznącego w ślimaczym tempie sznura samochodów na Wilshire Boulevard. Skręcił ku Castle Heights, śmignął pod portykiem, obok chłopaka odstawiającego auta, i zjechał na podziemny parking, gdzie podryfował na swoje miejsce między dwoma betonowymi filarami.

Chwycił z tylnego siedzenia czarną bluzę i włożył ją, żeby zakryć zaschniętą na ramieniu krew, po czym ruszył w stronę drzwi prowadzących do holu. Zawsze stawał przed nimi na chwilę, by zamknąć oczy, nabrać powietrza i przygotować się do przemiany w zupełnie inną osobę.

Evan Smoak, importer środków czyszczących. Kolejny nieciekawy mieszkaniec.

O tej porze w holu panowała cisza. W powietrzu unosił się zapach lilii. Evan energicznym krokiem podążył do windy, po drodze kiwając głową do ochroniarza.

– Dobry wieczór, Joaquin.

Joaquin oderwał wzrok od szeregu monitorów, pokazujących obrazy z kamer rozmieszczonych na zewnątrz budynku i w korytarzach. Apartamentowiec Castle Heights szczycił się własną ochroną, co miało być dodatkowym argumentem przyciągającym majętnych najemców w średnim wieku i dzianych emerytów.

– Dobry wieczór, panie Smoak. Przyjemnie spędził pan dzień?

– Typowy czwartek. Burgery z chłopakami.

Joaquin kontrolował windy zza wysokiej lady, co stanowiło kolejny środek bezpieczeństwa; sięgnął ręką, żeby wcisnąć

guzik i ściągnąć kabinę. Evan uniósł dłoń na znak podziękowania, ale szybko opuścił ją, dostrzegłszy drobiny zaschniętej krwi pod paznokciami. Gdy wszedł do kabiny, przycisk dwudziestego pierwszego piętra już był podświetlony. Drzwi się zamykały, kiedy usłyszał znajomy głos:

– Zaczekaj! Zatrzymaj windę, Joaquin… proszę. – Tupot stóp. – Chciałam powiedzieć „Proszę", żeby nie zabrzmiało to jak rozkaz, ale…

Drzwi się rozsunęły i Evan stanął twarzą w twarz z Mią Hall. Trzymała w ramionach śpiącego dziewięciolatka, którego podbródek spoczywał na jej ramieniu. Uniosła wzrok, zobaczyła Evana i zamarła.

Rzadko dawała się zaskoczyć, ale teraz aż rozchyliła usta i rumieniec wypełzł spod drobnych piegów na jej nosie.

W ubiegłym roku prawie już byli razem. Evan ocalił jej życie, a ona ocaliła mu tyłek. W konsekwencji dowiedziała się o nim więcej, niż powinna, co stanowiłoby problem nawet wtedy, gdyby nie była prokuratorem okręgowym miasta Los Angeles.

Popatrzyli na siebie spod oka.

Mia przestąpiła z nogi na nogę, uginając się pod ciężarem Petera.

– Mam go wziąć? – zapytał.

Swego czasu coś takiego byłoby całkiem normalne.

– Nie – odparła. – Dzięki. Dam radę.

W milczeniu wjechali na jej piętro. Pamiętając o krwi pod paznokciami, Evan lekko zacisnął pięści. Poczuł słaby zapach trawy cytrynowej – zapach jej emulsji do ciała.

Peter miał spłaszczony policzek, przez co wyglądał jak nieco nadąsany. Jego jasne włosy sterczały we wszystkie strony, wargi były niebieskawe od resztek lizaka. Gdy drzwi się rozsunęły z artretycznym grzechotem, chłopiec sennie uniósł

głowę. Uśmiech najpierw rozjaśnił jego grafitowe oczy, potem spłynął na usta.

– Cześć, Evanie Smoak. – Głos miał jeszcze bardziej zachrypły niż zwykle.

Zanim Evan zdążył odpowiedzieć, chłopcu opadły powieki. Mia wyniosła go z windy, a Evan patrzył, jak idą w głąb korytarza, dopóki zamykające się drzwi nie zasłoniły mu widoku.